FILOMATA

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

1927

63

TREŚĆ:

Cena 100 marek.

№ 1 Sosnowiec w styczniu 1922 r. Rok I

FILOMATA

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Redaktor: Dyrektor Tadeusz Nowakowski. Adres redakcji: Państw. Gimn. im. St. Staszica w Sosnowcu. Dla sekcji „Kult.-ośw."
Wydawca: Sekcja „Kulturalno-oświatowa" przy „Kole Samopomocy" pierwszego państw. Gimn. im. St. Staszica.

Słowo wstępne.

Nawiązując do pięknej tradycji filomatów wileńskich, rozpoczynamy wydawnictwo naszego pisma. Będzie ono miało charakter naukowy i umożliwi wypowiadanie się młodzieży w pewnych kwestjach. Ta możliwość wypowiadania się niezawodnie pobudzi wiele jednostek do pracy i szlachetnego współzawodnictwa.

W dzisiejszych czasach wszyscy, którym dobro Ojczyzny leży na sercu, winni wszelkich sił dokładać, aby dla młodzieży stworzyć potężny bodziec do pracy i czynu. Z przykrością stwierdzić trzeba, że w dobie dzisiejszej nasza młodzież zapadła w stan dziwnej, niczem nie wytłomaczonej apatji i bezmyślnej obojętności. Jeżeli nie potrafimy się z tej apatji otrząsnąć — wyrwać z obojętności, Ojczyźnie grozi w przyszłości powtórny upadek. Dlatego z tą obojętnością musimy wystąpić do walki, aby światu pokazać, że aby żyć i rozwijać się, nie potrzebujemy mieć ciągle noża na gardle, czy kajdan na rękach i nogach, że umiemy żyć wolni a wolność nas nie odurza, ale pobudza nas do czynu.

Praca w kierunku odrodzenia duchowego młodzieży jest naszem najważniejszem zadaniem; aby je wykonać chcemy ogół młodzieży zapoznać bliżej z naukami, pokazać ich piękno i urok. Szkoła rosyjska i dawna polska z zaboru austrjackiego swym systemem „nauczania" tyle potrafiły zdziałać, że wzbudziły w uczniu wstręt do nauki. Inaczej chce wychować nas dzisiejsza szkoła polska. Daje nam ona warunki nauki świetne, o jakich nawet nie marzyło się naszym ojcom. Mimo to, zapał do nauki jest wśród uczniów mały. Naukę uważa się u nas za konieczność, wprawdzie nieodzowną i pożyteczną, ale bezsprzecznie przykrą. Przeciętny uczeń nie umie się wczuć w istotę jakiejkolwiek nauki, nie chce widzieć jej uroku i piękna, bo nie wierzy, aby je nauka mieć mogła. Taki stosunek do nauki zgubnie wpływa na rozwój umysłowości i odbija się ujemnie na postępach. Jedynym środkiem zwalczenia tego uprzedzenia jest pokazanie młodzieży powabu nauki i dodania bodźca do głębszego jej oddania się.

W ten sposób wpłyniemy na odrodzenie duchowe młodzieży, a przecież od niej zależy przyszłość narodu. Pamiętajmy, że konstytucja 17-go marca zaczyna się od słów: „Władza zwierzchnia Rzeczypospolitej polskiej należy do całego narodu". Od tego jakim będzie ten naród, mający władzę zwierzchnią nad krajem, zależą przyszłe losy państwa. Do szczytnego posłannictwa obywatela Rzeczypospolitej należy się przygotować, aby w przyszłości móc je pełnić z pożytkiem dla narodu. Znaczenia wychowania młodzieży na prawych obywateli kraju ocenił sejm ustawodawczy, zamieszczając w stworzonej przez siebie konstytucji artykuł, podług którego „Obywatele mają obowiązek wychowania swoich dzieci na prawych obywateli Ojczyzny". Każdy Polak ma obowiązek przestrzegania tego paragrafu Konstytucji, który jest jednym więcej dowodem naszej duchowej tężyzny.

Młodzież winna przygotować się do życia tak, aby nie miała żadnych zwodniczych nadziei, a w przyszłości rozczarowań i przykrych niespodzianek. O sprawach natury ekonomicznej i społecznej młodzież powinna sobie wyrobić zdrowy pogląd i, zgodnie z nim postępować w przyszłości. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy mieli już za młodu tworzyć kadry najrozmaitszych partji i partyjek o takiem czy innem zabarwieniu politycznem. Młodzież zawsze powinna stać poza wszelkiemi partjami, których szkodliwość w dobie obecnej jest tak widoczna. Bezsprzecznie istnieją partje o pięknych programach politycznych, głoszące wzniosłe hasła i idee, ale niestety tylko głoszące, bo poza owym głoszeniem lub raczej rozgłaszaniem wzniosłych frazesów

kryje się najczęściej interes partyjny, a jasne i piękne programy wielu partji bywają urabiane w bezkształtne i nieuchwytne bryły, stosownie do interesów owych partji. Przytem każdy członek partji musi, jeżeli chce być rzeczywistym i czynnym, rzucić się w wir intryg i zawiści partyjnych. Tego rodzaju praca w partjach byłaby dla młodzieży zgoła nieodpowiednią i odrywałaby ją od istotnego i najważniejszego zajęcia — nauki, wiodąc na manowce polityki partyjnej.

Młodzież, stojąc poza partjami, powinna jednak wyrabiać w sobie poglądy i osąd krytyczny pewnych spraw, a to dlatego, aby potem nazbyt nagle, nieprzygotowana nie znalazła się w wirze walk partyjnych, nie wiedząc co czynić i w którą stronę się udać. Wszystkie wyżej wymienione kwestje nie powinny jednak zbytnio absorbować młodzieży, aby jej nie wytrącały z codziennego trybu pracy i nauki.

Aby wyrabiać w sobie racjonalne poglądy i wpajać zdrowe zasady, młodzież powinna znać się wzajemnie. Niewystarczy w tym wypadku zwykła znajomość ze szkoły, należy tworzyć związki młodzieży i w nich umożliwić wzajemną wymianę mysli i poglądów. Istniejące obecnie związki młodzieży prowadzą obecnie żywot suchotniczy. Samopomoce szkolne spotykają się z wiecznym brakiem zainteresowania ogółu uczniowskiego, kółka miłośników nauk cierpią z powodu małego zainteresowania do nauki.

Niemniej suchotniczy żywot wiedzie druga kategorja Związków młodzieży, a mianowicie: harcerstwo i gniazda sokole. O ile wina za małe zainteresowanie instytucjami zaliczonemi do pierwszej kategorji spada w zupełności na ogół społeczeństwa uczniowskiego, o tyle przyczyna upadku takich instytucji jak sokół i harcerstwo leży w samym ich ustroju. W czasach niewoli wszelkie instytucje, związki tego mniej więcej typu co harcerstwo czy sokół miały na celu fizyczne wychowanie młodzieży, przygotowanie do przyszłej walki o wolność. Obecnie gdy wolność już otrzymaliśmy i mamy własne regularne wojsko, instytucje tego rodzaju straciły rację bytu i należy im nadać zgoła inny charakter, wychowania nietylko fizycznego lecz i moralnego. Reforma istniejących związków młodzieży jest jednym z naszych celów. Chcemy zapoznać szersze warstwy młodzieży temi sprawami i nawiązać dyskusję, która niewątpliwie posunie znacznie naprzód prace podjęte w tym kierunku.

Reasumując to wszystko cośmy dotychczas napisali stawiamy sobie za zadanie pobudzić młodzież do czynu, wzbudzić w niej zainteresowanie do nauki, przygotować na prawych obywateli Ojczyzny, zapoznać z życiem społecznem, wyrobić sąd na kwestje społeczne, zreformować życie młodzieży w związkach istniejących i stworzyć nowe zgodne z wymaganiami czasu.

Chcąc osiągnąć niniejsze cele, w piśmie naszem wprowadzamy rozróżnicowanie na działy. W każdym z tych działów będziemy omawiać wymienione kwestje. Jak już wspominaliśmy na początku, pismo nasze będzie miało charakter naukowy. Nauce więc poświęcamy większą część naszego pisma Obok działów w których zamieszczać będziemy referaty i artykuły z dziedziny nauk humanistycznych zamieszczamy dział nauk ścisłych, dla wielu z naszych czytelników może on się wydać abstrakcyjnym, jednak nie wątpimy, że znajdą się i tacy, którzy ocenią tego rodzaju pracę i będą nam nadsyłali swe artykuły Prócz wyżej wymienionych działów wprowadzamy dział nowy, którego brak we wszystkich pismach młodzieży — dział zwany wolną trybuną. Będziemy w nim zamieszczali artykuły dotyczące spornych kwestji natury ekonomiczno-społecznej pisane przez uczniów oparte na ich własnych dociekaniach i utrzymane w tonie naukowym. Nie wątpimy, że nad wielu tego rodzaju sprawami wywiąże się ożywiona dyskusja, która nie jeden uśpiony umysł rozbudzi i da pewne rezultaty Komitet redakcyjny ze swej strony czuwać będzie i nie dopuszczać do tego, aby ta dyskusja przerodziła się w kłótnię czczą i bezprzedmiotową kilku zaperzonych przeciwników. Istnienie wolnej trybuny będzie miało podwójną korzyść z jednej strony wywoła żywsze zajęcie się i da upust nagromadzonym w młodych głowach myślom, z drugiej zaś wpłynie na rozjaśnienie wielu kwestji spornych, umożliwiając młodzieży zajęcie wobec nich określonego stanowiska.

Specjalny dział naszego pisma poświęcamy sprawom harcerstwa i istniejących związków młodzieży, aby przez informowanie o pracy w tych związkach zapoznać z niemi o nich ogół i zasięgnąć bliżej opinji tego ogółu.

W ten sposób usiłujemy przeprowadzić i osiągnąć wytknięte cele Pożyteczność naszej pracy jest każdemu zrozumiałą, jednak wszystkie nasze zamierzenia pozostaną tylko zamierzeniami, a nigdy nie będziemy ich mogli wcielić w czyn, jeżeli nie znajdziemy poparcia ogółu. Bez tego poparcia pismo nasze egzystować nie będzie mogło, bo nie będzie czego i komu drukować, spotka nas los tylu pism i pisemek, które jak grzyby po deszczu ukazują się z początkiem każdego roku szkolnego, a po kilku miesiącach wegetacji, zawieszają wydawnictwo i giną.

My nie chcemy patrzeć w przyszłość przez czarne okulary, nie chcemy się spodziewać takiego

olsu, zwracamy się przeto z gorącym apelem o poparcie moralne i materjalne do całej młodzieży Zagłębia. Piszcie więc artykuły, rozpowszechniajcie pismo, które wzięło sobie za dewizę: „Przyjaźń nasze godło — praca nasze hasło".

Z „Quo Vadis" H. Sienkiewicza.

Cezar skinął. Słońce całe snopy blasków
Rzucało na arenę. Cyrk drżał od oklasków,
Co witały i pieśnią były zarazem grobową,
Konającym wśród zwierząt z pochyloną głową...
Cezarze! Tyś drobnostką był dla swego ludu —
On cię wznosił na trony albo w otchłań brudu,
W błoto rzucał, jak swoją igraszkę, zabawkę!
Cezarze! Gdyś przeciągnął i ostatnią stawkę
Rzucił — gdy ta wstrętna tobie plebsu fala
Co wznosi w złote pałace, ale i obala,
Ryknęła w złości strasznej, jako dzikie zwierzę,
Które wtenczas łagodne, gdy coś w łapy bierze
Tyś mu rzucił na pastwę tych, co nową wiarę
Głosili... Tyś mu niewinną dał ofiarę...
Wiedziałeś o tem, wiedziałeś Cezarze!...
Drzwi skrzypnęły. Zaraz wszystkie twarze
Zwróciły się, by ujrzeć przyszłego znów trupa
Ku niemu się zwróciła szmaragdowa lupa
Cezara. On wszedł. Wychowaniec lasu —
Gdzieś na północy — zdala od hałasu
Cywilizacji Rzymu. On drzewa wyrywał
Z korzeńmi. I niejednemu pewnie kości nadłamywał
Niedźwiedziowi. Dla tej siły zwali go Ursusem.
Tu — on dumny co nigdy nie bywał sługusem
Gdy dusza się jego poznała z Chrystusem —
Barankiem stał się. Więc gdy oddać życie
Przyszło — nie szemrał. Patrzał gdzie na szczycie
Samym stał On, co go uczył — Apostoł Narodów
I spokój wielki zeszedł aż do spodów
Jego duszy. Czekał na śmierć! I takie mu słońce
Zabłysło w sercu, że nieledwie gońce
Z tamtego świata witał i z tamtej krainy
Szczęśliwej, do której szedł — skazany — bez winy.
I tak się zapamiętał, że prawie nie słyszał
I nie widział. Cyrk cały znów dyszał
Chęcią mordu. Zwierzęciu krew pachniała świeża!
Wtem rozwarto wrota ogromne naścieżaj,
Coś runęło — i buchnął wielki krzyk radości!!!...
Olbrzymowi co klęczał, przeniknął on kości
Oblał go, jak ukropem... Wstał i przetarł oczy
I zachwiał się na chwilę... Już zwrok straszny toczy
Mara to, czy jawa — buhaj, lecz na rogach —
Na rogach, na okropnych, na kosmatym grzbiecie
Ona! Ona... Lygja. Już go siła miecie
Jakaś!!! Wspomniał, gdy jeszcze w niewolniczej biedzie
Nie był, jak w borach ojczystych zwyciężał niedźwiedzie!
I znów ujrzał panią na tej bestji rogach —
Nagą, skrępowaną — piękną, że na bogach
Marmurowych wywarłaby wrażenie...
I targnęła nim złość dzika, oburzenie
O przebrała się waszych już okrucieństw miara
Jego męczyli — głupstwo, ale Lygji wara!!!
Spojrzał na Piotra — ujrzał krzyż, chwycił się za głowę
Zwinął się, skurczył, zgiął ciało bronzowe
Jakiś war uderzył do mózgu mu, co odurza
Najeżył się, przeżegnał i ruszył jak burza —
Ruszył!!! . . . . . .
Gdzieś w pierwszego rzędu
Fotelu siedział Winicjusz. I teraz obłędu
Nieledwie dostał — schwycił się za głowę
A tak mu przerażenie odebrało mowę,
Że milczał, jeno jęczał. I jakby obuchem
W mózg go ktoś walił, targał jego duchem
Szydził, śmiał się... Wszystkie w głowie dzwony
Świata uderzyły!!! W tej chwili zasłony
Kawał spadł mu na twarz — to Petronjusz togą
Zakrył go i zlekka przytrzymywał nogą.
A on wzniósł się w sobie na bólu wyżyny
Wzniósł się i całe chyba życia winy
Zapłacił w jednej chwili — aż w strasznym cierpieniu,
Skamieniał — i trwał tak jakby w omdleniu,
Stępiony na ciosy, bo tak wchłonął mękę
W siebie, że sam się nią stał i tylko rękę
Cisnął do skroni, a sam ogłupiały
Jakby zapadł się w głębię — on — robaczek mały
Ogłuchł, oślepł, załamał się w sobie
I zdało mu się, że jest w cichym grobie...
Aż — jasność!!! Jeszcze w głowie kręci się... Ogłusza
To grzmot oklasków, oślepia blask i jeszcze katusze
Piecze; Lecz — Chryste!!! Ach to niemożliwe —
Nie — oto tam, w dole — ten olbrzym za grzywę,
Za rogi trzyma bestję — trzyma... Ach pierś mu rozsadza
Coś! tchu, tchu — bo serce pęknie, ach coś przeszkadza
Że nie ryknie — nie będzie płakał, tańczył, śpiewał,
Krzyczał. Jak sztandarem swą togą powiewał
Chryste!!! . . . . . .
Cyrk drżał. Jakieś uniesienie przenika
Amfiteatr zaś cały trzęsie się, wykrzyka!
Tych, co nastawali przed chwilą na męki,
Tak ujęły dziewicy wpółomdlałej wdzięki —
Aż jej współczuł!!!... Ruszył niedźwiedź stary,
Ruszył, a taka moc i odwaga wstąpiła mu w bary,
Że chwycił, jak kleszczami stalowymi rogi
Chwycił bestję okrutną — i nie ruszył nogi
Jak łuk mu się zgięło ciało, nie ruszył ni kroku —
Buhaj i człowiek skamienieli i z boku
Jak rzeźba wyglądali — obaj natężeni,
Obaj straszliwie silni, strasznie wysileni —
Zwierz i człowiek, lecz tamten z taką walczył mocą
Tak skręcał przeciwnikowi rogi, co druzgocą
Zda się wszystko — taka silna wiara
Wstąpiła w jego serce, że jak demon — mara
Gniótł — sciskał jak kleszczami, wszystkie dobył siły
Wszystkie, jak stal, muskuły mu się natężyły,
Jak lwisko rozjuszone trząsł okropną głową
I taką dobył z siebie siłę piorunową —
Że szarpnął — skręcił — wraz łeb nadół spada
Zwierz toczy jeszcze wzrokiem, na ziemię upada,
Jeszcze jęzor wysunął, krew mu z pyska wali,
Jeszcze łeb natężony, kark jakby ze stali
Trzęsie się, a kopytem w piachu jeszcze grzebie —
Zwycięzca spuścił głowę, ale gdy na niebie
Ujrzał gasnące słońce i lazur to w duszę
Spokój mu spłynął; jeszcze pierś się nadmiernie kołysze
Pot ciekni zeń strugami, ręce opuszczone...
Aż skoczył, przeciął sznury i ciało zemdlone
Uniósłszy w górę na rękach, jak piórko
Szedł z niem, jak z dzieckiem w ramionach, jak z chmurką.
Tam, gdzie był cezar... Lecz Winicjusz skoczy
I marmurowe ciało swej Lygji otoczy
Togą, aż wraz na piersiach rozerwawszy szaty
Ukaże blizny w wojnach zdobyte przed laty...

Tłum huczał. Tupały nogi, wyły dzikie głosy
Ryk, gwizd pomrukiwania szły hen — gdzieś w niebiosy
Tłum się gniewał, tłum złościł, bo z cesarskiej loży
Nie ma znaku litości, — niech się upokorzy
On — Ahenobarbus!!! Wraz nowe okrzyki
Nowe wycie i hałas, nowy tupot syki,
Aż się uląkł — ten, co miał być bohaterem,
Uląkł, bo i wśród swoich spotkał się ze szmerem —
Litościwy wtedy gdy mu ktoś pogroził,
Cezar, co był aktorem i w cyrku powoził,
Dał znak litości — on — tchórz nad tchórze!!!...
A tam — hen wysoko, tam na samej górze
Stał on — Święty i szeptał „Zwyciężyła wiara..“
„Przyjdzie czas, Neronie, a zginiesz jak mara...“

T.

DANIEL.

(Zdarzenie prawdziwe).

Była zima. Śnieg ubielił drzewa i dachy domów i pola — wszystko, jak daleko oko sięgało leżało w białym, skrzącym się puchu. Niedzielny ranek zleciał ptakiem, a po obiedzie przyszedł do mnie kolega mój dawny, bo chcieliśmy iść na lód Ale gdzie tam! Niezawsze przyroda wypełnia życzenia ludzi. Tak i teraz — zerwał się wicher, zakręcił śniegiem, uderzył o szyby, aż zadźwięczały i wył dziko. O ślizgawce nie było mowy. A tu zmierzch zapadł, więc gadu — gadu to o tem, to o owem. Wreszcie kolega mój zaczął opowiadać o sobie i swej rodzinie. Nie była szczęśliwa jej dola! W 1905 roku za należenie do stowarzyszenia tajnego, został wydalony ojciec mego przyjaciela z państwa, a wkrótce umarł zostawiając rodzinę w biedzie Ta jednak opuszczona nie załamała rąk. Do pracy! Nawet dzieci nieszczęśliwego patrjoty nie mogły się kształcić. Brat mego przyjaciela Daniel, nie mogąc się jako syn banity, z odwiecznie wrogiego Polsce północnego imperium uczyć w kraju przedtem zamieszkiwanym w b. Kongresówce, wyjechał do szkół w Mysłowicach — na ziemię śląską Wytężył żelazną wolę i mimo trudności — szkołę skończył, a po niej politechnikę w Mansfeldzie.

Był to rok 1914. Od południa powiał wiatr wojny, niosąc odgłos serajewskich strzałów, niosąc płomienie wojny Zerwał się huragan, uderzyły gromy — Europa stanęła do walki. Ówczesny wulkan świata — Niemcy przygotowywały się do ciosu, który miał im dać nowe kraje do ucisku i wyzyskiwania. A jako u szczytu podstępu stojące państwo, gotowało się do zadania tego ciosu, możliwie nie swoją bronią, nie swymi dłońmi, lecz muskułami i krwią tych, których zakuły w kajdany. Więc szły znowu, jak za bismarkowskich czasów, Maćki i Bartki z pod Poznania, szli Pomorzanie, Mazury Ślązacy. Szli, by, słysząc przez hakatystów grane „Jeszcze Polska...“, oddać krew poniewoli, za ciemiężcę. Zachłanny smok germański, łykał i łykał słowiańskie syny, łykał bez końca — nienasycony. Wzięli i Daniela. Choć urodził się w Rosji był właściwie pruskim poddanym — znalazły się u „amtowych“ odpowiednie ustawy, paragrafy, że tacy to a tacy, wtedy a wtedy idą do wojska. Poszedł. I krzepiła go, jak wszystkich rodaków, ta myśl, że w zawierusze tej, wyłoni się Ta o której dumał od kolebki, za którą zginął jego ojciec. Niepośledni to musiał być rozum. Oto on — „verfluchter Pole“ — kończy szkołę oficerską, dostaje się, jako lejtenant — do pułku pruskich huzarów śmierci, do Berlina.

* * *

Piękny to był dzień. Słońce lało strugami ciepło i blaski, złociło przyrodę całą, napawało serca i dusze myślą o lepszych czasach. W koszarach był ruch. Biegali, klnąc, oficerowie, ten to, a ten to widział, za mało błyszczące, za mało wyczyszczone. Spoceni żołnierze kręcili się jak muchy w ukropie; ten dociągał ładownice, inny sprawdzał jeszcze umundurowanie, lub czesał wierzchowca. Komenda. Trąbki zagrzmiały „wsiadanego“ — ostatnie rozkazy padły — pułk wyciągnął się trójkami, jak wąż, i ruszył, błyszcząc szablami, dźwięcząc ostrogami — i łopocąc chorągwią na której rozpinał drapieżne skrzydła pruski, czarny orzeł. Pułk szedł, szedł wyprostowany, wyciągnięty, jak struna, bo oto ma go przejrzeć — sam cesarz Wilhelm. Ach! — on „ojciec Niemiec“, „orędownik pokoju“ — on Bóg!!! Ot już widać go, widać. Wśród chmury adjutantów, na czarnym, jak własne sumienie, koniu — stał Pułk zamienił się w maszynę, której sercem, kierownikiem był major von Osterloff, hakatysta, błyszczący orderami, które zdobył u „ojca swych poddanych“, klnąc na mających nie germańską w żyłach krew; major von Osterloff, który nienawidził onego oficerka ze Śląska, co jechał na prawym flanku. Smutne myśli miał ów szczęśliwy poddany Germanji Daniel. W głowie tłukły mu się myśli czarne, jak noc, jak ów orzeł, co utkwił szpony w srebrnej piersi drugiego orła, tak ukochanego przez ubrane w mundur pruski serce.

Wiele słyszał o cesarzu. Lecz gdy ujrzał jego głowę w nienawistną pikielhaubę, sterczące do góry wąsy i małe, ruchliwe oczki, zawrzała mu krew w żyłach.

Oto ujrzał Fryderyka W., jak łamie przymierze, jak wydziera Rzpltej jej ziemie; jak porywa chłopów polskich do swej rozbójniczej armji. Ujrzał wszystkich wywłaszczonych rolników, Wrześnię — wreszcie stanął mu przed oczyma zakon Krzyżaków. — Cesarz coś mówił — on nie słyszał, pułk wrzeszczał coś w odpowiedzi — nie wiedział co; padła jakaś komenda. Pluton za plutonem zawrócił, on w zapamiętaniu stał. Krzyk majora ocucił go. Spostrzegł, że jego oddział zawrócił i stoi doń bokiem. Szarpnął cuglami, naprawił błąd — zapóźno. Wilhelm nachylił się do jakiegoś brodatego szwaba, siedzącego na wielkiej, łaciatej klaczy, a ten przygalopował do majora von Osterloff — i też mu coś szepnął — że pułk nie zna komendy. To było dla nieszczęsnego majora klęską. I jemu jak Danielowi, stanął pewien obraz przed oczy — oto stosy trzcin, które on i jego oficerowie połamali na plecach szeregowców, siniaki na dłoniach, od bicia po twarzy, wszystkie trudy i kary, jakie codzień wymyślał dla podwładnych. I to wszystko — na nic. Ten potomek „starego Fryca“ wydał ujemny sąd o pułku. Więc gdy Daniel wrócił do koszar — kazał przywołać go do siebie. Przyszedł — stanął przed biurkiem komendanta i czekał. Dowódca uderzył trzciną po sprzęcie i zawołał groźnie: „Czemuś pan zmylił ko-

mendę?!! — Zapomniałem, co? Ach ty — verfluchter Pole...! — Danielowi krew zawrzała w żyłach. W oczach mu pociemniało, uczuł w sobie moc wielką, gniew i determinację: „Powtórz pan to! — Jak?! polnische Schwein?! — Masz łotrze!“ Krótki klask dłoni o tłusty policzek majora von Osterloffa, poczem młody oficer, po zwrocie w tył, wyszedł. Major zachwiał się, przechylił przez poręcz krzesła, i runął na posadzkę, przytłoczony siedzeniem. Z gardła jego wyrwał się ryk strachu. Zbiegli się żołnierze, wyciągnięto go z pod fotelu, postawiono na nogi. Nie przestawał, wśród śmiechu obecnych, bełkotać niezrozumiałych wyrazów, przekleństw, z któremi łączył się strach, złość i — spuchnięty policzek, powalana i zakurzona czupryna, oraz opuszczone wąsy.

* * *

Nazajutrz wysłano Daniela do Mysłowic, gdzie miał być oddany pod sąd wojenny. Jechał z tem przeświadczeniem w duszy, że zadanie włożone nań — osłanianie honoru Polaka, wypełnił; był zobojętniały, nieprzystępny bólom — stępił się. Żołnierze oglądali go z ciekawością, jak pojmane zwierzę, opowiadano sobie o fakcie, wydawano wyroki, przeklinano — wszystko to obijało się o niego, jak fala o nadbrzeżną skałę. Spokój ten rozdrażnił towarzyszącą mu straż i publiczność na większych stacjach Obrzucano go skorupami jaj, chlustano piwem. On milczał. Patrzał na rozwścieczoną zgraję z politowaniem. Milczał.

* * *

Stół. Na nim świece, krucyfiks, jakaś księga. Za nim — w szarych mundurach Niemcy — hakatyści, co bezstronnie sądzić mieli Daniela. Na boku stał prokurator z monoklem, o śpiczastych wąsach, kościsty, wysoki. Wprowadzono oskarżonego. Prokuretor przeczytał akt oskarżenia. Oto lejtenant Daniel, poddany cesarza, który jest dlań ojcem dobrotliwym, za słowa, ubliżające największym wrogom Niemiec — więc i jemu — Polakom — śmiał uderzyć w twarz majora huzarów... Tu sędziowie wydali jednogłośnie okrzyk oburzenia. Podziw nad niewdzięcznością i zuchwalstwem oskarżonego. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Zapytał czy jest to sąd formalny, a po potwierdzającej odpowiedzi, poprosił o obrońcę. „Ach, — rzecze kapitan — przewodniczący — Niemcy są tak dobrzy, że udzielają mu tej łaski. Oto właśnie pan prukurator jest wolny, może być świetnym obrońcą“. Odmówiono Danielowi prawa głosu. Bronił go — kościsty prokurator. Wszyscy zgodzili się na jedno. Wydano wyrok śmierci, poczem sędziowie i obrońca — prokurator poszli do piwiarni zapić, wśród dymu, koniec sprawy.

* * *

Nadszedł od ojca cesarza list z rozkazem zmniejszenia kary na dwudziestopięcioletnią służbę piechura bez prawa awansu. Tego się najwięcej bał Daniel. Oto marzył, że zginie, jak bohater, że skończą się dlań ciężkie dnie; gdzie tam! Los chciał inaczej. Więc nadzieją całą, myślą, którą pielęgnował starannie w sercu, stała się ucieczka. Pułk jechał na wschodni front. Jechał towarowym pociągiem, przez zawojowaną Kongresówkę. Z wagonów rozlegały się dzikie okrzyki, hultajskie śpiewki i grube dowcipy. Poczciwy lud z nad Sprewy i Elby płatał sobie wielce ucieszne „kawały“ w rodzaju wyjedzenia z tornistra towarzyszowi, prowiantów, lub podstawienia nogi. A gdy nieborak padł — cały wagon wybuchał naiwnym, dobrodusznym śmiechem, popychając, usiłującego wstać, Hansa, czy Fryca. Daniel wtulony w róg, odosobniony od dalekiej mu duszą i kulturą hałastry, pożerał oczyma te ziemie kochane, te lasy, te łąki wielkie. Serce mu się do nich rwało. Oto witał je, po tylu latach wygnania, witał tę ziemię rodzoną, tę matkę swoją. Patrzał na grudy czarnej ziemi, na źdźbła młode, na sosny i świerki, na chaty kupiące się wśród sadów, w ogłuszone, przestraszone grzmotem wojny wioszczyny. Patrzał na grusze samotne, na jaśniejsze zda się, polskie niebo — i łkał cicho z radości wielkiej, że wraca. Aż raz — o dziwo! ujrzał na którejś stacji szary mundur, maciejówkę— a na niej srebrnego orzełka. I targnęło nim coś silnie. Pociąg ruszył dalej, a on ciągle widział, wychylające się z pod daszka polskiej czapki, niebieskie oczy legjonisty. Obraz ten stał mu w duszy, nie dał spać, ni jeść. Wreszcie postanowił uciec do tej braci kochanej, do legjonów.

* * *

Była noc. Towarzysze podróży — poczciwe Fryce, spali snem kamiennym, marząc o domowej pierzynie, ciepłym, wielkim piecu i piwiarni. Pociąg sapał i jęczał przeciągle, ale czarny łeb piął, piął się wciąż naprzód ciągnąc sznur wagonów. Daniel był gotowy; zarzucił tornister na plecy, zapiął mundur. W pewnej chwili, gdy pociąg idąc pod górę zwolnił — wyskoczył z wagonu i momentalnie przycupnął do ziemi, nadsłuchując, czy nie został spostrzeżony. Ale nie. Wąż czarny oddalał się, wreszcie znikł na zakręcie. Daniel był wolny. Wyciągnął rękę — dotknął się ziemi. I nagle, gdy sobie przedstawił, że to już polska ziemia, ogarnęła go szalona radość. Padł na kolana, rozgrzaną twarz przytulił do trawy mokrej, perłami rosy — i płakał. Tak go zastał szary świt. Wstał i mężnym krokiem ruszył w las. Owionął go podmuch żywiczny, zapach jakiś uderzył weń, szum poważny rozmarzył. Szedł naprzód.

* * *

Był straszliwie głodny. Buty miał podarte. Ubranie przemokłe i postrzępione, włos rozwiany. Szedł niepewnym jakimś chwiejnym krokiem. Spieczone usta szeptały — „byle dalej, byle dalej do swoich“. W głowie huczało coś, tornister gniótł niemożliwie. Czuł się zmęczonym, rozbitym. Toczył zmętniałym, nieprzytomnym wzrokiem po pniach. W pewnej chwili zdawało mu się, że jest w domu. Oto przyszedł ze szkoły, matka zastawia obiad. Nie, nie, wraca mu na moment przytomność, lecz znowu, coś się majaczy. Przegląd jakiś, wojsko, konie, wozy, krzyki... Ach, gdzieś to było, co to jest? Stara się sobie przypomnieć i nie może, nie może. Wysila się, — napróżno. Aż tu nagle wychyla się doń twarz jakaś, sterczące wąsy — trzcina wali po biurku. Coś ma zrobić, coś koniecznie, ale co, co? Ach nie, nie — to przecie sąd. Ten kościsty prokurator z monoklem broni go. Ach, jak on świetnie

broni!!! Mówi tak dużo i głośno, i ciągle się nachyla do niego, krzycząc „verfluchter". A sędziowie się śmieją. Czego się tak strasznie śmieją, przecie prokurator go tak świetnie broni!... Daniel jeszcze idzie. Głowa mu cięży, jak ołów. Jest mu źle, bardzo źle. Chciałby zapłakać, ale nie może... Jakiś krzak obejmuje go litościwą gałęzią. Danielowi zdaie się, że to matka. Tak tak, napewno matka. Potyka się, wreszcie upada, na zielony puszysty mech. O! jak mu dobrze, tylko ta głowa... cięży i cięży.

* * *

Noc. Cicho. Tam wysoko migoce jakaś gwiazdka. Daniel leży na plecach i przypatruje się. Ach jak ona śmiesznie migoce! Ha, ha, ha!!! Lecz... co to? Zdala, gdzieś idzie pomruk jakiś. Tak, tak, tak, a rzadziej bbbum, bbbum! potem znów tak, tak, tak. Daniel słucha, słucha, kombinuje coś; wreszcie zrywa się. Tak — to front — armaty. Zaczyna biec strasznie. Chwytają go gałęzie tarnin, jakby chciały zatrzymać, mech i trawa wikła się pod nogami i kilka razy potknął się, kilka przewrócił w rozmokłą glinę. Ale nie ustaje. Siła jakaś podnosi mu nogi i stawia. Powtarza sobie, że to jego legjony, pewien jest, nie dopuszcza do siebie innej myśli. Jest ciemno. Las coraz gęściejszy i coraz trudniej biec. Ale już, już, na pniach sosen pokazują się purpurowe odbłyski, coś migoce — mani — bliżej i bliżej, aż — ognisko, wokół wianek naszych szarych mundurów, czapek z orzełkami; karabiny w kozłach. Danielowi zamarło serce z radości. Poczuł teraz niemoc swoją, szczęście jakieś. Oparł się o pień, patrzył, patrzył, aż zachwiały się pod nim biedne, zmęczone nogi i... runął na rodzinną ziemię.

P.

Irydjon, jako Mściciel.

„Już się ma pod koniec starożytnemu światu wszystko co w nim żyło psuje się, rozprzęga szaleje, Bogi i ludzie szaleją" określa Krasiński epokę, na tle której ukazuje nam postać Irydjona, mściciela Hellady. Po śmierci zamordowanego w czasie wyprawy na Partów Karakali, obejmuje ster rządu główny sprawca zamachu, prefekt gwardji, Makrimus. Już w pierwszym roku, chcąc zabezpieczyć swą władzę, zmusza siostrę matki zabitego Maesę, do opuszczenia Rzymu, ta zaś udaje się wraz z córkami: Mameą i Soemis, oraz z wnukami do Emery. Jednakże dumne kobiety, nie chciały ustąpić z dawnego stanowiska, to też postanowiły syna Mamei, Warmsa Bassiana wynieść na tron Rzymski. Ażeby rzecz te przeprowadzić, rozpuściły pogłoskę, jakoby młodociany arcykapłan bóstwa syryjskiego Halgah Baala. Warms Bassian, zwany Heliogabalem, jest synem zamordowanego cezara. Wieść ta, jak piorun rozeszła się pomiędzy legjami, obozującemi niedaleko Emery. Żołnierze nienawidząc do głębi nowokreowanego cezara, porwali się do buntu, w imię przywrócenia należytej władzy synowi ukochanego Karakali Pewnej nocy Heliogabal udał się do obozu zbuntowanych żołnierzy, ci zaś nazajutrz dnia 16 maja 218 roku, obwołali go cezarem, nadając mu tytuł Markus-Aureliusz-Antoniusz, od imion najsławniejszych władców Romy. Do buntu przyłączyły się niemal wszystkie legje, przyciągnięte, albo imieniem Karakali, lub też złotem, którego Heliogabal nie żałował. Legje, dochowujące wierności Makrimusowi, pod dowództwem Ulpianusa, zostają rozgromione, a Makrimus zabity. Nic wtenczas nie przeszkadzało młodemu, bo zaledwie czternastoletniemu cezarowi, zasiąść na tronie rzymskim.

Za panowania tego władcy, znikło zupełnie poczucie prawa, żołnierze rzymscy, co chwila podnosili bunt, rozpoczynając walkę bratobójczą, senat i naród rzymski zeszedł do zera W całym Rzymie, pozostał tylko Cezar, który najohydniejszemi i najwyuzdańszemi sposobami pragnął usunąć nudę, która go dręczyła, i motłoch ryczący pijanym gardłem chwałę cezara, który potrafił zaspokoić ich niskie instynkty. Wiara, starego Rzymu, rozsypywała się w proch. Heliogabal zbezcześcił i zhańbił, dawnych bogów Romy: chcąc się rozerwać, sprowadził z Syrji swego bożka Helgah-Baala, umieścił go we wspaniałej świątyni na przedmieściu stolicy, a Jowisza uczynił giermkiem jego. Zhańbił nawet to co w Rzymie było najświętszego, co cieszyło się, największą czcią, szacunkiem i miłością: zhańbił świątynię Westy, porywając kapłankę, strzegącą świętego Znicza Romy, czyniąc z niej swą nałożnicę. Zaś w mrocznych podziemiach stolicy, gdzie kości umarłych leżą, zaczęła zakwitać nowa ideja, wiary Chrystusowej. Lecz nie była to idea wprowadzona do życia realnego, był to duch bez ciała, który wyzywał do walki z prześladowcą swego Boga, sam zdobywając się jedynie na męczeństwo.

A tam wśród pałaców i kolumn świątyni, rządził światem cezar, nawpół obłąkany, na każdym kroku lękający się, ażeby tym, którzy go na tron wynieśli, nie przyszła ochota zrzucić go ze stanowiska i zamordować. Myśl ta była tak uparta, że doprowadziła Heliogabala w pewien stan anormalny Babka cezara Maesa widząc, że dłuższy czas życiem takiem jej wnuk nie wyżyje, skłoniła go do adoptowania przyrodniego brata, Aleksandra Sewerusa. Jednakże w bardzo krótkim czasie Heliogabal, bojąc się, ażeby za życia jego jeszcze nie wprowadzono na tron Aleksandra, do tego stopnia znienawidził przybranego syna, że postanowił go zamordować. Lecz pretorjanie oburzeni rozpustnem i okrutnem życiem władcy, porwali się do rokoszu, a gdy rozeszła się wieść, jakoby cezar swój zamysł urzeczywistnił, mordują Heliogabala, a ciało jego wrzucają do Tybru Po śmierci Heliogabala, na tron zostaje wyniesiony, prawy, pełen wzniosłych ideałów Aleksander Sewerus. Z powodu małoletności Aleksandra, w imieniu jego rządziła Mamea, wraz ze szlachetnym prawnikiem Ulpianusem, głównym sprawcą zamachu i detronizacji Heliogabala. Dalsze losy Romy toczyły się zwolna ku przepaści, były jeszcze chwile, przypominające dawne świetne czasy, ale już nic nie mogło uratować Rzymu od upadku. Bo cały naród rzymski wychowany w zniewieściałości i zepsuciu nie był zdolen kierować losami świata, mógł tylko przez pewien czas, nabytym dawniej w chwilach świetności rozpędem, panować i uciskać ludy, lecz gdy cierpliwość świata została wyczerpana, kiedy przepojone nienawiścią i żądzą zagłady Romy, ruszyły

narody do boju, nie było nikogo, ktoby mógł piersiami swemi zasłonić gród Romulusa. Państwo rozpadło się, Rzym legł w gruzach, dając miejsce innym pokoleniom, dając miejsce płomieniowi chrystianizmu, który tu na gruzach swego prześladowcy założył swoją stolicę, zagarniając pod ramiona krzyża mnogie i coraz liczniejsze ludy. „Z tego świata co zużywa się i kona unosi się myśl jedyna, myśl zemsty“. Zemsty za pohańbioną Ojczyznę, zemsty za zdruzgotanie boga, zemsty za wstyd i boleść cór i matek Helleńskich. Wśród pałaców stolicy, gdzie dzień i noc słychać pieśni, muzykę i hulaszcze wykrzykniki, gdzie złoto i wino strumieniami się leją, a wśród tych odgłosów zabawy rozlegają się jęki katowanych niewolników, wyróżnia się jedno domostwo ciche i poważne. Wśród białych kolumn i marmurów zamieszkał tu grek Irydjon z siostrą swą, i ze starym przyjacielem Masynissą. Sama kształtna i smutna postać zwracała uwagę; jego twarz blada wzbudzała szacunek i mówiła, że coś poważnego, a zarazem groźnego, nurtuje młodzieńcze myśli jego. Oczy czarne, żarzące jak węgle, w których zapalały się i gasły tajemnicze błyski, kazały się domyślać „że jakaś myśl zawzięta go dręczy“, lecz widno „że umie panować nad sobą i milczeć“. I nic dziwnego: w jego duszy wrzała walka, w jego sercu gorzało uczucie, strasznej, nieubłaganej zemsty do Rzymu, i rzewnej miłości do pognębionej przez Romę Hellady w której „syn Zoty zamieszkał i opromienił ją dokoła, na piersiach Zeusa w cieniu puklerza Pallady leżało jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne stóp jej były zakochanem podnóżem“. Przyjrzyjmy się przeszłości tajemniczego Greka. Dzieciństwo swe spędził Irydjon na wyspie Chiarze, wśród lazurowego morza Egejskiego, gdzie założył swe miasto rodzinne Amfiloch-Hermer, ojciec jego z żoną Grymkildą córą północy, kapłanką Odyna. Życie całe poświęcił Amfiloch ojczyźnie i za ojczyznę zemścić się gragnął. Myśl swą chciał przekazać w spuściźnie dzieciom swoim Irydjonowi i boskiej Elzinoe siostrze jego. Od najwcześniejszej młodości, poił ich serca młodociane miłością do ojczyzny, od najwcześniejszych lat wpajał w nich poczucie konieczności całkowitego poświęcenia się ojczyźnie dla przeprowadzenia zemsty „która jest rozkoszą bogów“. Zarazem wskazywał im, że drogą prostą, że w walce otwartej nic dla ojczyzny nie wskórają, tylko podstępem, tylko zdradą, ma być słana droga, po której oni stąpać mają. „A jeśli czasem do Chiary prokonsul, pretor, lub wyzwoleniec jaki Cezara, przybywali w goście, wtedy Hermes-Amfiloch, kazał zastawiać długie stoły i łoża, lesbijskie wino płynęło strugami“, a kiedy na cześć gospodarza wznosili goście okrzyki: „wtedy szyderczym uśmiechem mówił o dziejach przeszłości, wspominał z Kartagą przewalczane boje, wycięte Warusa legjony i pił zdrowie Imperatora, aż puhar pękał w palcach jego“. Lecz szczęście i spokój domowy zostają nagle, śmiercią matki w trzynastą rocznicę opuszczenia jej bogów, przerwane, a Amfiloch z rozpaczą w duszy, przenosi się z dziećmi i ze starym przyjacielem Masynissą, w samo gniazdo wrogów, zamieszkując na przedmieściu Rzymu, gdzie dalej przygotowuje dzieło zemsty, otaczając się i jednając sobie ludy północy. Lecz chwili, na którą całe życie czekał, którą z taką rozkoszą powitałby, nie dano mu doczekać, nagły zgon przecina jego pełne poświęceń się dla ojczyzny pasmo żywota. Lecz w chwili zgonu zabiera wraz z sobą w zaświaty przysięgę syna, że dalej zaczęte przez ojca dzieło, prowadzić będzie. Przysięga ta decyduje o losie doczesnym, a nawet i przyszłym syna Amfilocha; poczynając od tego momentu, wszelkie myśli i dążenia, sprowadzają się do jednego celu: do spełnienia obowiązku, względem Ojczyzny. Po śmierci ojca, staje Irydjon twarzą w twarz, z tą nieznaną, a pełną grozy tajemnicą przyszłości, tajemniczem i nieznanem jutrem, oczekującem jego i jego dzieło. Ukochanie ziemi rodzinnej, jęczącej w niewoli, pragnienie odpłacenia krzywd i zbrodni, jest podłożem, na którym rozwija się ziarno rzucone przez ojca. Ziarno to wydało bujny owoc. Irydjon wystąpił do walki z ciemiężcą w pełni wiadomości, że ojczyzna jego nie jest zdolna do życia narodowego, że szlachetne i prawe jednostki, albo wyginęły w krwawych walkach z wrogiem, albo zostały niecnie przez Rzymian wymordowane. Pozostałe zaś społeczeństwo, nie myśli o dawnej, świetnej przeszłości Grecji, lecz w poniżeniu i chęci przypodobania się ciemięzcy, wiedzie swój nędzny żywot.

Nie myśli więc nawet Irydjon o przywróceniu dawnego blasku chwały Helladzie, nie mając dla kogo budować ojczyzny. Pragnie się jedynie zemścić, usunąć z oblicza ziemi ten gród okrutny „który przez wieki żywił się krwią i potem wolnych dawniej, a teraz wprzągniętych w jarzmo narodów, któremu niedość rzezi i mordów, zniszczenia i pożogi, który chwałę zdobył nie krótkim mieczem, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale obłudną radą, pobratymstwem zdrajców, dopełzł się potęgi“. To też Irydjon walczy nie z temi, lub innemi jednostkami, dzierżącemi w dłoniach swych ster nawy państwowej, lecz z ideją grabieży i mordów zwycięskiego grodu. Jemu nie wystarcza wytrącenie władzy nad światem, z rąk okrutnego miasta, on pragnie nawet imię Romy wykreślić z żyjących „ale niech sława o nich żyje w późne wieki, niech powieść o ucisku będzie ich nagrobkiem! Niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje, aż do końca świata“. Lecz nie widzi możności zrealizowania swego celu wstępnym bojem, i otwartą walką z Romą, widzi swą niemoc i bezsilność wobec tego olbrzyma, którego tężyzna chociaż nadwątlona, lecz jeszcze dość silna. ażeby zgnieść wszelką myśl odwetu. Pozostaje jedyna droga, wskazana przez umierającego ojca, na której walkę należy prowadzić tą bronią, jaką Rzymianie uzyskali panowanie nad światem, więc: podstępem, chytrością i zdradą. Innej drogi nie uznaje Irydjon w tych warunkach. „Dawniej dosyć było życia człowieka, dziś inne czasy, dziś cześć cześć poświęcić trzeba“. Lecz „kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć“ jest główną zasadą mściciela, podtrzymującą go i uodparniającą przeciwko wyrzutom i żalom, bliskich i obcych. Irydjon walcząc sam przeciwko potężnemu narodowi, musi za swych sprzymierzeńców, — jak zaznaczyłem — pojąć chytrość i zdradę, musi zachwiać, już i tak nadwątlonemi podstawami Romy, przez rozdmuchanie z jednej strony niechęci i nienawiści ludu, i uciemiężonych, prze

ciwko władcy, z drugiej strony przez podsycanie u cezara pogardy do ludu i narodu, łączącej się z przekonaniem, o bezgranicznej władzy nad poddanymi, wzbudza nienawiść do tych, którzy nie chcą w milczeniu przyjmować, coraz okropniejszych wybryków cezara. Przez wywołanie tej nienawiści obustronnej pragnie wywołać walkę bratobójczą, wśród której zemsta jego, dopełniłaby się mogła. Niedość na tym, zwiększając umiejętnie u Heliogabala obawę utraty życia, skłania cezara, do postanowienia, zniszczenia całkowitego miasta, z którego sądami, on wszechwładny pan, liczyć się musi, zniszczenia bezwzględnego, zupełnego, zamienienia w gruzy i popioły, te pałace i świątynie, cyrki i łuki tryumfalne, świadczące o świetności Rzymu. Dla przeprowadzenia tego planu popełnia cały szereg zbrodni ohydnych. Ażeby pozyskać bezwzględnie ufności cezara, chwyta się sposobu niecnego, wzbudzającego dreszcz wstrętu i odrazy, nawet u zepsutych i przyzwyczajonych do spoglądania bez zdumienia na wszelkie ohydy. Rzymianin oddaje siostrę swoją, jako nałożnicę wyuzdanemu cezarowi. Przez czyn ten potworny wprost swoją ohydą, osiąga swój cel, cezar widzi w nim jedynego przyjaciela i zbawcę. Przez granie mistrzowskiej komedji, wiernego i cichego wyznawcę idei i zasad Chrystusa, wzbudza zaufanie chrześcjan, ażeby następnie sączyć w ich umysły jad nienawiści i zemsty, odrywając te dusze święte, zatopione w ekstazie, od postaci Zbawcy, a czyniąc z nich swe narzędzia. Niedość, że nad siostrą popełnił zbrodnię straszną, że w całem postępowaniu ideją przewodnią jest przewrotność i chytrość, jeszcze dla dopełnienia swych celów, uwodzi i do obłędu doprowadze istotę czystą i świętą. Wszystko to daje nam dokładny obraz, jaką to drogę obrał Irydjon, dla uzyskania swego celu. Lecz nie była to jednostka wyzuta z szlachetnych porywów. Na charakter i duszę Irydjona złożyły się dwa główne pierwiastki, które odziedziczył po rodzicach. Dwie rasy znalazły w nim swego przyjaciela. Z jednej strony szlachetna i subtelna, lecz niezdolna już do gwałtownych czynów dusza helleńska, z drugiej strony prosta, surowa, niemal dzika jeszcze dusza Germanina, przepojona żądzą mordów i zniszczenia. Jako cierpiący, kochający i walczący za ojczyznę swoją, jest synem Hellady, potomkiem bohaterów z pod Termipol i Maratonu, jako żądny krwi, pożarów, mordów i zniszczenia, jest Germaninem, poprzednikiem Alaryka i Genezeryka. Po ojcu odziedziczył subtelność i szlachetność, z krwi matki żądzę czynu, nie mogącą być zatamowana niczem. Dwa te sprzeczne pierwiastki nie mogły pogodzić się w duszy Irydjona, to też możemy zauważyć w całym jego działaniu, walkę ze samym sobą, zmaganie się zewnętrzne, i wypływające z tego, pewne zmęczenie i niemoc. Wkońcu, wśród walki, w atmosferze kłamstwa i ułudy, zatraca samego siebie, nie jest w stanie odróżnić gdzie rzeczywiste „ja", a gdzie maska noszona przed ludźmi i sobą „Gdzie ja? Irydjonie pokaż mi się" wyrywa się z ust jego wśród walki. Z jednej strony pragnie on krwi całych potoków, popiołów i gruzów znienawidzonego miasta; do celu tego dąży środkami uwłaczającemi honorowi i etyce człowieka; i na tej drodze widzi jedynie osiągnięcie celów. Z drugiej strony szlachetna dusza jego wzdryga się przed samym sobą, widzi całą głębię ohydy i potworności, jakie popełnia, często nie ma sił do postanowienia i przeprowadzenia czynu, niezgodnego z sercem jego. Te dwie straszne sprzeczności natury Irydjona stanowią istotną tragedję jego. Wybucha czasem straszną skargą: „Wszak co świętem i lubem dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie". „Czuję, że w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły bogi" zostawiły to, co staje na drodze do jego jedynego celu, co roztrąca i sądzi postępki i czyny zostawiły duszę i serce człowieka. Walka wrąca w piersiach mściciela, jest pełna grozy, w chwili poświęcenia najdroższej siostry swojej, jako ofiary, na pastwę zwyrodniałego cezara, ażeby osiągnąć zaufanie i bezwględne oddanie się potwora, serce Irydjona nie może przenieść ze stoicyzmem tej walki, zdaje się paść przed wejściem na arenę, dopiero w imię obowiązku, umocniony duchowo, przez starego przyjaciela Masynissę, z rozpaczą i zemstą w duszy, oddaje siostrę w ręce posła cezara. Rozterka wewnętrzna dosięga maksimum w chwili,, gdy musi, dla ostatecznego pozyskania chrześcjan, poświęcić ukochaną istotę. którą czci i szanuje jak świętą, a którą uwieść i obłąkać musi. Duch Irydjona zmęczony i znękany walką wewnętrzną, pragnie szukać ukojenia i spokoju w śmierci, jest to chwila Hamletowskiego: „być—albo nie być", lecz tak jak i Hamleta powstrzymuje go przed ostatecznym czynem myśl, że może tam. po drugiej stronie Styksu nie znajdzie ukojenia, może ten wieczny spokój i milczenie jest tylko złudzeniem i fałszem. Lecz nie tylko niewiara w wyswobodzenie się z kajdan życiowych powstrzymuje Irydjona, wie on że „dziś cześć poświęcić trzeba", i to przekonanie, że on musi na stanowisku do końca wytrwać, że musi wypełnić przysięgę daną ojcu, powstrzymuje go od ciosu. Z jednej strony obraz Hellady nieszczęsnej, z drugiej widok przyszłego tryumfu nad wrogiem, widok skrwawionych głów rzymskich mężów. druzgotanych przez koła wozu tryumfalnego, wytrącają mu morderczą klingę z dłoni. Jak widzimy dusza Germanina, widząca cel w zniszczeniu zwyciężyła lecz zwycięstwo odniosła w imię miłości ojczyzny. Po tej strasznej walce i po zwycięstwie idei zemsty, Irydjon opanowawszy siebie, dąży śmiało do celu. Czasem tylko znowu ból nurtujący piersi jego uzewnętrznia się w tym strasznym jęku-westchnieniu: „Wszak i ja także kiedyś miałem być człowiekiem!" Lecz jemu nie wolno żywić w piersiach uczuć ludzkich, jemu nie wolno przywiązać się, nie wolno kochać, ni współczuć, przysiągł przecież ojcu rzecz straszną, przysiągł być samotnym na ziemi „przywiązania nie znać, litości, ni swego serca nie słuchać". Przysięga ta sprzeciwiała się naturze człowieka, bo przecież w każdym żyje to uczucie, ta potrzeba przywiązania się i ukochania, ta chęć nieprzeparta znalezienia i posiadania kogoś bliskiego, z którym można byłoby podzielić się swemi myślami i przeżyciami, któryby przyjacielską dłonią wspierał w poczynaniach, któryby sercem i miłością potrafił uśmierzyć walki i cierpienia wewnętrze, a w chwilach zwątpienia, wesprzeć i umocnić. Irydjon, przysięgając ojcu, nie był w stanie wyrwać i zniszczyć w piersi swej, uczucia tego, mógł tylko żelazną siłą woli stłumić, lecz w chwilach osłabienia i roz-

terki duchowej, z piersi wyrywają mu się słowa pełne przejmującej boleści: „Czy kiedy zdejmę tu, czy na jakiej innej gwieździe ciężką zbroją moją? Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpieczeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?“ Ma braci. Jest on z bohaterów nieszczęścia, co przeczuli daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć, przez to, że raczej w przeczuciach żyli, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Irydjon jest z tych jednostek, które ukochawszy ojczyznę całą, gorącą miłością duszy swojej, żyją w warunkach, w których nie dozwolono im pracować z wynikiem konkretnym dla chwały ojczyzny, nie mogą pogodzić się z wyczekiwaniem sprawiedliwości i miłosierdzia dziejowego, lecz chcą tę chwilę przyśpieszyć. I z tego wynika całe życie, wszystkie czyny, kłamstwa i zbrodnie Irydjona, a nie z żądzy zaspokojenia swych instynktów zwierzęco-ludzkich. W niego wcielił się ból wielu pokoleń i wieków, mógł jak Konrad zawołać „Nazywam się Miljon, bo za miljony kocham i cierpię katusze“. Żądze jego można nazwać tragedją zemsty, on wie, że popełnia postępki ohydne, niezgodne z własnem „ja“, jego życie całe jest bezwzględnym całopaleniem własnej duszy. Jego ofiara większa, jego męka straszniejsza i zupełniejsza niż ofiara Wallenroda. Jemu niewystarcza, jak Konradowi poświęcić szczęście bliskich — on nie szczęście samo, ale cześć musi wydrzeć siostrze. I w rezultacie ma możność jasno i dokładnie zdać sobie sprawę o daremności wysiłków swoich. I oto właśnie, o mękę życia i daremności czynu chodziło Krasińskiemu. Chciał wykazać jak daremną i tragiczną jest walka z przeznaczeniem, chciał wykazać, że na drodze mordów i pożogi nie uzyska się odkupienia ojczyzny, że dziejami ludzkości kieruje wyższa siła, której zarządzenia, człowiek swym buntem zmienić nie może. I gdy też Irydjon po wiekach wstaje wzbudzony, kiedy danem mu jest ujrzeć grudy i zwaliska znienawidzonego grodu, nie zaznaje rozkoszy zemsty. Ze smutkiem spogląda na ruiny miasta, widzi w niej zagładę nie tego świata, nad którym on przed wiekami straszną swą zemstę wywrzeć pragnął, lecz świata idei Chrystusa, która podjęła purpurę cezarów, spadającą z rozsypującego się olbrzyma. I w chwili tej widzi na wzgórku, wśród ruin dawnego cyrku, krzyż samotny, wyciągający ponad tę ziemię, krwią zbroczoną, czarne swe ramiona. W sercu Irydjona, w jego duszy budzi się potężne czucie, rzewnej miłości do dziewicy świętej i czystej, jak śniegi na górach helleńskich, która życie swe poświęciła miłosirdziu i cierpieniu, której dusza rozkwitła, jak kwiat przecudny na gruncie religji Chrystusowej. Przepojona ideami Mistrza, widziała jeden, jedyny cel wiekuistego zbawienia. Ta natura, tak prosta, tak świetna i święta, uczyniła na znękanej i płonącej ogniem zemsty duszy Irydjona potężne, niezatarte wrażenie. Nie lękający się nikogo i niczego; nieustraszony na polu walki, nieugięty wobec wrogów swoich, czuje się słaby wobec Kornelji. Czci ją jak świętą, czuje w niej coś nie z tego świata zbrodni i ohydy, coś wyższego, a doskonałego. Nie jest to miłość cielesna, zmysłowa, głębokie uczucie miłości, rzecz można braterskiej, zalewa duszę młodzieńca. Jest to przyjaźń i złączenie się dwuch duchów, tak różnych w celach i dążeniach, a tak zbliżonych podłożem, na którem się rozwijają. Jak Kornelia życie swoje poświęciła dla idei Chrystusowej, siebie uważając za narzędzie w rękach miłosierdzia boskiego, ze wzrokiem utkwionym w cel swój na ziemi, nie pomnąc o sobie, tak i Irydjon poświęca się dla idei, wyrzekając się wszystkich i wszystkiego, będąc jedynie narzędziem w rękach, nie miłosierdzia boskiego, lecz krzywdy i wzbudzonej przez nią odwiecznej zemsty ludów uciemiężonych. Jak Kornelja przez miłość dążyła do celu wiekuistego, tak i Irydjon dąży do zemsty, celu wręcz przeciwnego, lecz spowodowanego miłością do braci pohańbionych w niewoli. I tu jest najstraszniejsza tragedja: przez miłość do narodu musi poświęcić miłość do jednostki, musi zdeptać, uwieść i obłąkać istotę tak mu drogą. Strasznym więc wysiłkiem woli postępuje wbrew uczuciu, sercu, i honorowi, lecz miłości w swych piersiach zabić nie zdołał. Po odegraniu przed Kornelją roli Zbawiciela świata, doprowadziwszy ją do oddania się i obłędu, z ust kurczowo zaciśniętych wybiega straszny szept, skierowany do tego, który mu tę drogę wskazał: „Masynisso, bądź mi przeklęty, jeśli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem“. To zwycięstwo jest dla Irydjona jedynym celem, dla którego poświęca siebie i tak drogie a blizkie mu istoty. Walki i męczarnie duchowe nie tylko nie osłabiają, zmniejszają uczuć nienawiści i zemsty, przeciwnie, potęgują je znacznie „ja jednego znam zabójcę wszystkich chwil moich — Rzym się nazywa“, „lecz niech ja z tylu nieszczęśliwych ofiar wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i nękani, zapomnianych po mękach i zgonie, będą ostatnią“.

St. H.

(Dokończenie nastąpi).

O podstawach geometrji.

Wybitną cechą matematyki **nowożytnej jest dążność do ścisłego wyjaśnienia podstaw, na których cały gmach tej nauki się opiera. Wiek XIX obfituje w liczne doskonałe dzieła wybitnych matematyków jak Gauss, Klein, Enviques i wielu innych, traktujące o podstawach matematyki. Szczególnie podstawy geometrji znalazły wielu komentatorów.**

Geometrja zajmuje się badaniem własności rozciągłości. Jeżeli ciałom odebralibyśmy ich twardość, własności chemiczne, elektryczne, magnetyczne, wtedy ciała te różniłyby się tylko wielkością i kształtem czyli własnościami geometrycznemi albo inaczej własnościami rozciągłości (mogłyby być stożkowate i t.p.). Obecnie geometrja jest nauką rozumową, na niewielu określeniach podstawowych i pewnikach opartą, z których to określeń i pewników drogą logicznego wnioskowania wysnuwa nowe związki i zależności. Niezawsze jednak geometrja była nauką rozumową, Zanim nią się stała, przechodziła okres empiryzmu i wtedy wszystkie jej zdobycze były wynikami spostrzeżeń i

specjalnie wykonywanych, za pomocą odpowiednich narzędzi, doświadczeń. Dopiero Grecy przyczynili się do rozumowego rozwoju geometrji. Pierwsze dokładne sformułowanie pojęć podstawowych oraz pewników i cały z nich wysnuty systemat znajdujemy w „Elementach“ Euklidesa. Jednak określenia Euklidesa są troszkę niejasno wypowiedziane i to dało powód do późniejszego różnego ich komentowania. Naprzykład określa Euklides pojęcie prostej w ten sposób: „Prosta jest to linja leżąca jednostajnie na swych punktach“. To „leżenie jednostajne“ rozmaici autorowie rozmaicie objaśniali. Tak naprzykład jedni rozumieją przez to, że jeżeli na prostej unieruchomimy dwa punkty, to prosta nie będzie mogła przybierać różnych położeń; drudzy, że jeżeli na prostej obierzemy dowolny odcinek, to na całej rozciągłości tej prostej istnieją równe mu odcinki. Wszyscy godzą się jednak na to: prosta jest przez dwa punkty wyznaczona, nieskończona i ciągła, dwie proste przecinające się lub równoległe wyznaczają płaszczyznę (istnieją jeszcze proste skośne, inaczej zwane wichrowatemi, a te płaszczyzny nie wyznaczają). Podstawowe pojęcia i pewniki wynikają z doświadczenia, ale umysł nasz je uogólnia i przyjmuje za bezwzględne i prawdziwe. Także logiczne rozumowanie domaga się istnienia jakichś pierwszych podstaw, których byśmy absolutnie nie kwestjonowali, i które służą jako punkt wyjścia dla nowych rozumowań i wniosków.

Musimy więc uznać pojęcie jakieś czy cały układ pojęć bez dowodu za prawdziwe i z nich wysnuwać nowe wnioski; tego domaga się rozum. (Oczywiście te określenia nie powinny dać się wyprowadzić z innych).

Zachodzić może jednak pytanie, czy nie można różnych pojęć, zupełnie przeciwnych euklidesowskim, przyjąć za prawdziwe i z nich wytworzyć przez rozumowanie analogiczne do euklidesowskiego odrębnych systemów. Pytanie to tembardziej staje się ważne, że doświadczenie to źródło wszelkiego poznania, często może do mylnych doprowadzić wniosków, które my później rozszerzając i uogólniając w umyśle, wytworzymy fałszywy, z rzeczywistością sprzeczny, systemat.

Że tak być może, niech posłuży za dowód pewne ciekawe porównanie Chelmholtza. Wyobraźmy sobie dwie istoty A i B. Niech jedna z nich znajduje się na obszarze płaskim; wtedy może sobie wytworzyć zwykłą geometrję na płaszczyźnie, geometrję płaską. Druga natomiast niech porusza się na powierzchni kulistej, ale kula ta niech ma tak wielki promień, że obszar po którym B się porusza będzie niezmiernie mały w porównaniu z powierzchnią kulistą, że będzie się zlewał z płaszczyzną styczną do kuli; wtedy i B moze sobie wytworzyć zwykłą geometrję płaską. Obie mogą naprzykład wytworzyć sobie pojęcie linji, wykreślonej na odpowiedniej powierzchni i mierzącej najkrótszą odległość między dwoma punktami. Obie mogą w umyśle pojęcie to rozszerzyć i uznać linię prostą za nieskończoną. Ale to jest tylko słuszne w rzeczywistości A; B popełni błąd, bo w jego rzeczywistości linja taka jest kołem bardzo wielkiem, a więc linją skończoną. Błąd ten wynika z niedokładności doświadczenia; bowiem B przy najdokładniejszych nawet pomiarach nie mogła sprawdzić, wobec niezmiernie małej powierzchni po której się porusza w porównaniu z całą powierzchnią kulistą, że owa odległość między dwoma punktami nie była odcinkiem prostej, lecz łukiem.

Któż więc może zaręczyć, że założenia Euklidesowskie, uznane za prawdziwe, nie są tak samo mylne jak istoty B? Nikt. W obronie postulatów Euklidesa można się powołać jeszcze na to, że wyniki, najskrupulatniej wykonywanych eksperymentów, zgadzają się w zupełności z założeniami greckiego matematyka lub z nich wynikającemi wnioskami. Tak, ale i tu nasuwa się pewna wątpliwość. Doświadczenia dzisiejsze, mimo precyzyjnie wykonanych przyrządów, są zawsze niedokładne; a może kiedyś przy nowych, ulepszonych, metodach badania, przy nowych lepiej skonstruowanych przyrządach, doświadczenie dziś od założeń Euklidesa się nieróżniące, wykaże sprzeczność podstaw tych z rzeczywistością.

Odpowiem teraz na wyżej postawione pytanie. Można założyć i uznać za prawdziwe inne pewniki, niż uznał Euklides, zbudować z nich cały wykończony systemat, ale czy on lepszym, więcej rzeczywistości odpowiadającym, od systematu Euklidesa, będzie; rozstrzygnąć nie potrafimy. Próby takie czynione już były. I tak matematycy: Łobaczewskij, Bolyai, Riemann zaprzeczali prawdziwości postulatu Euklidesa. O równoległych zbudowali oni swe własne systematy, z Euklidesowskim w części poprzedzającej postulat o równoległych jednoznaczne. Dopiero dalej następują różnice. Tak naprzykład w geometrji Euklidesa suma kątów w trójkącie jest równa 2d, zaś w geometrji Bolyai'a i Łobaczewskija w tak zwanej geometrji hiperbolicznej, jest od 2d większą a w geometrji eliptycznej Riemann'a od 2d mniejszą. Dalsze wzory są zawiłe, daleko więcej skomplikowane od odpowiednich wzorów Euklidesa. Ta większa trudność geometrji „nieeuklidesowych“ skłania ludzi, zawsze zmierzających po drodze najmniejszego oporu, do przyznania wyższości Enklidesowi nad nowożytnemi matematykami. Przytem doświadczenie zdaje się potwierdzać geometrję Euklidesa.

Nie znaczy to bynajmniej, aby układ Euklidesa miał rzeczywiście wyższość nad pozostałemi układami. Tylko ludziom on jest z powodu swej łatwości bardziej na rękę, a przytem powagą tylu wieków uświęcony, i dlatego przypisują mu ową wyższość.

Tak się w ogólności przedstawiają podstawy geometrji. Możemy o nich reasumując powyższe wy-

wody, powiedzieć, że nie są one w gruncie prawdami rzeczywistemi, że są tylko za rzeczywiste przez nas przyjętemi, że możemy różne pseudoprawdy przyjąć za podstawowe i z nich nowe budować systematy. Wreszcie zaznaczę, że na polu geometrji „nieeuklidesowych“ jest jeszcze dużo do zrobienia, że badanie tych związków jest znowu nie tak trudne i niedostępne, że tylko nam się tak wydawać może, gdy rzucimy okiem na stronice pełne liczb i dziwnych znaków. Z nauką tą trzeba się bliżej zapoznać, przełamać pierwsze trudności. Bliżej tylko to bowiem się z geometrją zapoznawszy, możemy odczuć wewnętrzne piękno tej nauki, którą, wedle Euklidesa „Bóg w niebie się zabawia“.

St. T.

Żydzi w Polsce.

Nie zapominajmy nigdy, ale pamiętajmy zawsze: wieczór i rano, w dzień i w nocy, że w Warszawie obecnie na sto dzieci polskich rodzi się sto trzydzieści sześć żydowskich.

(Dr. Michalski).

Żywioł żydowski na ziemiach polskich doszed do zastraszającej potęgi. Miasta prowincjonalne tracą charakter narodowy, a w sercu kraju w Krakowie żydzi stanowią niemal połowę ludności, podobnie dzieje się w stolicy państwa w Warszawie. Magistrat warszawski w swojem sprawozdaniu za rok 1916 stwierdza, że w roku tym liczba żydów przekroczyła 40 procent ogółu ludności Warszawy. Odsetek żydów w stolicy ciągle wzrasta, słusznie tedy Andrzej Niemojewski w przedmowie do drugiego wydania dzieła swego „Dusza żydowska w zwierciadle Talmudu“ powiada, że jeżeli stosunek żydów do polaków nadal pozostanie ten sam, za 150 lat żydzi w stolicy „stanowiliby okrągło 100 procent, czyli, że Warszawa byłaby miastem żydowskiem“. Każdy silny i liczny element obcy w kraju jest zawsze niebezpieczny, tembardziej element żydowski, o którym mamy prawo powiedzieć, że jast nam wrogi. Wystarczy przejrzeć listy konfidentów niemieckich z okresu okupacji, akta spraw o spekulacje walutowe, wyzysk i uprawiane na szeroką skalę paskarstwo, aby się przekonać, że procedery tego rodzaju żydzi w swoich rękach niemal zmonopolizowali. Co najważniejsze, żydzi wpływają demoralizująco na ogół społeczeństwa, oni nauczyli robotników kraść, bo, jako paserzy, dają rynek zbytu dla ukradzionych rzeczy, oni nauczyli chłopa paskować i urzędnikowi podsuwają łapówkę, oficera uczą zdradzać, a żołnierza uciekać. Żydzi zarazili naszą całą pseudointeligencję swoją talmudyczną etyką — mówię pseudointeligencję, bo prawdziwa nie ulega im tak łatwo, nie daje się oszukać. Zawdzięczając wrodzonemu, właściwemu swej rasie sprytowi, żydzi w Polsce zdobyli takie stanowisko, na jakiem stoją obecnie. Niema urzędu, w którym nie byłoby żyda, choć jednego, i dlatego żydzi z łatwością uzyskują od rządu wszelkiego rodzaju koncesje, które im pozwalają na swobodne uprawianie procederów. Cały handel drobny w miastach spoczywa w rękach żydowskich, na wsi handel prowadzą również żydzi, rzadko sprytniejsi chłopi, którzy owego „sprytu do handlu“ nauczyli się od żydów.

To, że handel znajduje się w obcych rękach, nie pozwoli nam nigdy dojść do równowagi ekonomicznej i społecznej, bo przecież właśnie handel stanowi jedyne zajęcie dla mniej zamożnej warstwy inteligencji, która u nas tworzy niepoliczone zastępy niewykwalifikowanych urzędników. Handel jest jedynem zajęciem dla inwalidów. U nas handel jest dla polaka zamknięty, bo polak nie potrafi wytrzymać konkurencji żyda handlarza, już nawet nie z zawodu, ale wprost z urodzenia. Dlatego dziś, po ukończeniu paroletniej wojny, tysiące inwalidów, nie mogąc zająć się handlem, jako źródłem zarobku uczciwego, nie wymagającego nadmiernej pracy — doprowadzeni do ostateczności nędzą, urządzają manifestacje, które kończą się starciami z policją. Tego rodzaju zajścia, to straszne tragedje odrodzonej Polski, które krew w żyłach ścinają. Ze zgrozą patrzy każdy od nieletniego łobuziaka do sędziwego weterana, jak policja prowadzi do więzienia za przeciwpaństwowe wystąpienie inwalidę, ozdobionego krzyżami, co niedawno dla obrony państwa krew przelewał.

Wina za tego rodzaju wypadki spada na żydów i ogół społeczeństwa za to, że żydom pozwolił dojść do tej siły, jaką dziś mają. Zdobycie handlu nie jest jedynem dążeniem żydowstwa — tylko jednem z pierwszych i dlatego już dziś niemal osiągnęli ten cel. W ostatnich czasach żydzi zaczęli również dążyć do zawładnięcia wielkim przemysłem włóknistym; dzięki apatji społeczeństwa, kapitał żydowski już dziś w okręgach przemysłowych Łódzkim i Białostockim osiągnął bezwzględną przewagę. W byłej Galicji żydzi posiadają w swoich rękach 35 procent większej własności ziemskiej i 50 procent placów miejskich. Również w Małopolsce są żydzi prawie wyłącznie posiadaczami banków i domów handlowych. Pewien nawet procent żydów zajmuje się rzemiosłami; są to przeważnie „tandeciarze“ i dla tradycyjnego polskiego rzemiosła nie stanowią poważnej konkurencji. Tak się przedstawia w chwili obecnej stanowisko żydów w Polsce.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że żywioł lisi ciągle wzrasta w siły, musimy się zgodzić z tem, że jeżeli nie podejmiemy racjonalnej obrony, państwo nasze będzie chore długo. Wynik tej obrony zależy od sposobu jej prowadzenia; środków mamy dziś jeszcze wiele, ale musimy w nich przebierać, aby nie zaszargać imienia polaka republikanina, na którego sztandarach widniały święte słowa ewangelji narodu polskiego: „Za naszą i waszą wolność“. Stare pokolenie przekazuje nam, młodym, tragiczną spuściznę walki polaków o swoje prawa w swojej własnej ziemi z wiarą w naszą tężyznę i moc, która nie pozwoli nam upaść, i etykę która nie pozwoli nam zaszargać imienia polaka, obywatela republiki, której konstytucja powiada: „Rzeczpospolita polska zapewnia na swoim obszarze pełną ochronę życia, wolności i mienia wszystkim bez wyjątku, różnicy pochodzenia, narodowości, języka, rasy lub religji“. Pamiętając o tem winniśmy walkę z żydowstwem prowadzić tak, jak nam nakazuje chrześćjańska etyka. Ich etyce żydowskiej, talmudycznej winniśmy przeciwstawić naszą polską etykę; wtedy tylko zwyciężymy. Tymczasem u nas zaczyna się dziać inaczej, popularnem jest hasło „bij żyda“ a nie „walcz z żydem“. Sposób praktykowanego u nas czasem „bicia“ żyda świadczy o tem, że właśnie ci co biją przesiąknięci są etyką talmudu. Owo „bicie“ osiąga skutek oczywiście zupełnie prze-

ciwny, a choć jest rzadkiem na ogół zjawiskiem, objawem głupoty i rozwydrzenia, urabia nam za granicą opinję dzikich pogromców. Podobnego bicia nie możemy tolerować, „pogromców“ nierzadko przez żydów nauczonych należy piętnować i karać.

Jedyną drogą, która musi nas doprowadzić do celu odżydzenia kraju, — to poznanie gruntowne żydów.

Z wrogiem, którego się zna, walka jest stokroć łatwiejsza i ma większe szanse wygranej. Aby lepiej poznać i zrozumieć duszę polskiego żyda, należy rzucić okiem wstecz i przejrzeć choć pobieżnie kartę dziejów żydostwa na ziemiach polskich.

Po raz pierwszy ukazali się żydzi, wedle Lelewela, na ziemiach polskich w wieku VIII, jako handlarze niewolnikami. Handel żywym towarem, jako niezgodny z zasadami wiary katolickiej, nie mógł się rozwijać na ziemiach katolickich państw w wiekach średnich, dlatego więc żydzi postarali się, aby rynek zbytu przenieść do muzułmańskiej części Hiszpanji, a źródłem nabywania taniego i dobrego towaru stały się ziemie słowian nadłabskich, dzisiejszej Polski i Rusi. W swojej rozprawie p. t. „Słowianie w Andaluzji“ Karol Szajnocha, tłomacząc obecność słowian w Hiszpanji, dowodzi, że dostali się oni na te ziemie, jako żywy towar kupców żydowskich. Podobne zdanie w tej sprawie wypowiada historyk żydowski Schipper. Widzimy więc, że już w VIII wieku trudnili się żydzi procederem obrzydliwym i niecnym, który najzupełniej usprawiedliwiał pogardę i niechęć, z jaką się do nich odnoszono.

Kupcy żydowscy w wiekach VIII, IX i X bywali na ziemiach polskich raz do roku, rzadko dwa, trzy razy; dopiero w wieku XI, pisze prof Kutrzeba, do Polski zaczęły napływać liczne rzesze uchodźców żydów, prześladowanych w całej Europie w okresie wojen krzyżowych. W tym wieku powstały w Polsce pierwsze niewielkie osady żydowskie. Żydzi znaleźli w Polsce wszelkie warunki po temu, aby móc swoje posłannictwo określone przez Talmud spełnić. W celu ułatwienia sobie rozwoju na ziemiach polskich, żydzi od połowy XIII w. rozpoczęli usilne zabiegi o przywileje od książąt i magnatów. Zabiegi te zostały uwieńczone powodzeniem: Bolesław Pobożny w roku 1264 nadał żydom wielkopolskim przywilej, stawiający ich wobec prawa wyżej od ogółu ludności. W końcu XIII wieku żydzi śląscy otrzymują nowy przywilej, a w roku 1364 Kazimierz Wielki poprzednie dwa przywileje rozszerza na żydów Małopolskich. Ten krok Kazimierza, obok wzmocnienia władzy „możnych“ uważa historyk Schlosser za „błąd kardynalny“, motywując tem, że żydzi, którzy pierwszy raz przybyli do Polski jako handlarze żywym towarem, a następnie trudnili się lichwą, będą zawsze wpływali demoralizująco na lud polski. Te obawy prof. Schlossera są najzupełniej słuszne; żydzi jeszcze w wieku XX uprawiali handel żywym towarem (Gazeta Warszawska rok 1913, proces stu handlarzy dziećmi). Wystąpienia władz i społeczeństwa przeciw niecnym procederom żydów zawsze ci ostatni nazywali walką antysemicką, co najlepiej świadczy, że ogół żydowski solidaryzuje się z występnemi jednostkami.

Koroną przywilejów, nadanych żydom polskim, jest przywilej, podobno sfałszowany, przypisywany Kazimierzowi Wielkiemu, zatwierdzony przez Kazimierza Jagiellończyka w 1453 roku, potem odwołany, w rezultacie przywrócony i zatwierdzony przez królów polskich. Na mocy tego przywileju dozwolono żydom handlować i gospodarzyć ziemią. Jednak „Statuta Piotrkowskie“ z roku 1496 znowu zabroniły żydom kupowania ziemi. Tak więc mimo owego przywileju żydzi w Polsce mogli handlować i gospodarować ziemią dopiero od połowy XIX wieku. Wogóle przez długie wieki wzbraniano się oddać handlu w ręce żydowskie jednak żydzi, mimo zakazów zawsze się nim trudnili z powodzeniem. W wieku XIV żydzi zaczęli się trudnić gorzelnictwem i szynkarstwem najczęściej nieprawem. Znaczny napływ prześladowanych z zachodniej Europy wpłynął na ograniczenie żydów w ich prawach, miał to być środek powstrzymania tej ogromnej fali, jak się potem okazało, bezskuteczny. Wspomniane wyżej przywileje zapewniły żydom możność rozwoju ekononomicznego i bezpieczeństwo. Obok zabiegów o zupełne uniezależnienie ekonomiczne, starali się żydzi uniezależnić społecznie od ogółu polskiego. W wieku XVI stanowią żydzi polscy niejako odrębne państwo w państwie, mając nawet swoje własne sejmiki i własny system podatkowy, zatwierdzony przez Zygmunta Starego. Zjazdy żydów delegatów poszczególnych gmin tak zwane Waady miały na celu ustalenie systemu podatkowego, jednak z czasem zaczęły się przetwarzać w instytucje polityczne. Ciekawą i znamienną jest rzeczą, że nawet owe Waady w stosunku do samych żydów uprawiały wyzysk, obciążając biednych podatkami nadmiernemi na korzyść bogatych, tak, że w wieku XVIII rząd polski musiał bronić ubogich żydów od wyzysku bogaczów i Waadów. Z czasem owe Waady przerodziły się w kahały i w dziejach porozbiorowych zatraciły swój polityczny charakter, wracając do roli pośrednika między ludnością żydwską a żądaniami zaborców.

Rządy zaborcze prześladowały żydów polskich, co żydom bynajmniej nie przeszkadzało pomagać im w gnębieniu polaków. Askenazy w dziele „Ze spraw żydowskich w dobie kongresowej“ stwierdza przyjazny stosunek żydów do wszystkich trzech zaborczych rządów i ich charakter i etyka, która nakazuje im dla pięści i buta poszanowanie, a dla słabości i wszelkiego rodzaju nieszczęścia nie współczucie lecz pogardę. Poszanowanie żydów dla pięści i siły nie świadczy wcale o tem, że pięść jest jedynem narzędziem walki z nimi. Pamiętajmy, że z pośród trzech dzielnic, stanowiących dawną „Koronę“ najpierw w Poznańskiem dano żydom równouprawnienie i pokazano im przez to tak zgodną z duchem czasu tolerancję, mimo to właśnie w Poznańskiem jest żydów najmniej i tam są najmniej groźni.

Za czasów okupacji żydzi w Polsce stanowili żywioł niebezpieczny i nieprzychylny z pośród nich rekrutowały się, jak już wspomniałem, zastępy tak zwanych konfidentów i szpiclów wszelkiego rodzaju. O takim stosunku żydów do okupantów świadczą niedawno opublikowane archiwa generał-gubernatorstw warszawskiego i lubelskiego. W dzisiejszej Polsce stanowisko żydow określiliśmy we wstępie niniejszego artykułu, a ich nienawiść do wszystkiego co polskie rzuca się każdemu w oczy. Oczywistą jest rzeczą, że mowa tu o żydach jako o ogóle, z tego ogółu wyróżniają się jednostki dla Polski dobrze usposobione, jednak spotykają się zawsze z nienawiścią współwyznawców a z naszej strony z usprawiedliwioną nieufnością.

Żydzi, podobnie zresztą, jak i inne narody, ulegają wpływom nowych prądów społecznych, powstają więc w łonie tego narodu partje o pewnych przekonaniach politycznych, obok tych partji politycznych istnieją partje, mające w swych programach jako cel określenie i ustalenie stosunku żydów do polaków. Z pośród istniejących partji żydowskich wymienię najważniejsze: Narodowcy czyli sjoniści, partja dzieli się na szereg kierunków o różnych zabarwieniach politycznych, najbardziej skrajnie socjalistycznym jest „Bund"; drugą najsilniejszą po narodowcach partją jest stronnictwo ortodoksów i chasydów czyli zwolenników nieodstępowania od starych zasad i konserwatywy. Najmniej liczną, bo zaledwie 2 do 3 procent ogółu żydowskiego stanowiącą partją jest partja asymilatorów i neoasymilatorów.

O aby poznać żydów trzeba się zapoznać z prądami, nurtującemi w ich społeczeństwie a przejawiającemi się w programach poszczególnych partji. Zajmiemy się tylko bliższem rozpatrzeniem programu i działalności partji asymilatorów, gdyż co do innych wiemy, że obok nieszczerze głoszonych idei narodowościowych, wyznają te same zasady co nasze partje lewicy czy centrum, jedynie ortoduksi zasługują na uwagę dzięki swemu do śmieszności posuniętemu konserwatyzmowi. Wogóle żydzi są narodem niezmiernie konserwatywnym i wszyscy zachowują przepisy rytualne z epoki kamienia gładzonego. Sam Talmud ze swojemi iście drakońskiemi prawami przypomina w wielu swych punktach starożytne prawodawstwo asyryjskie z XV wieku przed Chrystusem, jednak ten Talmud jest wedle słów żyda Samsona Rafaela Hirsza „źródłem, z którego żydzi czerpią niespożytą siłę, gruntem na którym wyrośli i nadal się rozwijają". Żydzi wypierają się często tego, że Talmud jest dla nich wyznaniem wiary i świętą księgą, w której zawiera się cała ich dzisiejsza pseudoetyka, jednak dociekania licznych powag naukowych całego świata dowiodły takiego właśnie znaczenia Talmudu dla żydowstwa polskiego.

W. S.

(D. c. n.)

Czego oczekiwaliśmy po Harcerstwie.

„I cóż w tym tonie rozbrzmiewa?
Cóż płynie z tych słów powodzi
Góra otwiera swe łono
I mała mysz się z niej rodzi".
(Horacy „De arte poetica 138—139")

Kiedy w r. 1911 ś. p. Andrzej Małkowski zaczął organizować „Drużyny skautowe" w Małopolsce i kiedy one z zadziwiającą szybkością powstawały same, wydawało się, że te drużyny staną się elitą przyszłego społeczeństwa, przyszłego naszego bytu. I nie myliliśmy się, pokładając takie nadzieje w wspomnianych drużynach. Skauting przeszczepiony na ziemie skutej jeszcze naonczas Rzpltej, pociągnął za sobą ogół naszej młodzieży. Ów Skauting prowadził pracę swoją wytrwale, stawiając sobie za cel wychowanie Polaka — żołnierza. Do tego celu dążono nie tylko przez wiązanie węzłów, noszenie odznak i rozmaitego rodzaju sznurków. Wówczas Skauting miał głębsze ujęcie, wówczas dążyliśmy do wyzwolenia tej, która nie zginęła! I na tem polu położył Skauting niemałe zasługi, gdyż szeregi Legjonów zasilała w 1914 r. w wielkim stopniu młodzież, rekrutująca się z drużyn skautowych. Nieubłagana wojna przerwała pracę. Ona to wyrwała z szeregów skautowych te jednostki, w których Skauting pokładał najlepsze nadzieje.

Po odrodzeniu się Rzpltej, mieliśmy tę błogą nadzieję, że Skauting będzie dążył po nowowykreślonych torach, będzie zmierzał do wychowamia Obywatela — Polaka w najlepszym znaczeniu tego wyrazu. —

Następuje zmiana nazwy organizacji, Skauting przemienia się na Harcerstwo, ale ze zmianą nazwy, następuje też zmiana zasad i dążeń. Wprawdzie Harcerstwo zdaje się obejmować coraz to szersze kręgi młodzieży, jednak praca wśród niej staje się płytką i ogranicza się do wiązania węzłów, noszenia odznak i t. d. Harcerstwo zamyka się samo w sobie, separuje się od reszty młodzieży i stwarza z siebie odrębną kastę młodzieży, średnio lub mało inteligentnej, która wegetuje wcielając rzekomo, pewne dążności w życie. Spytamy się, co jest powodem takiego stanu rzeczy? Mojem zdaniem jest to wina tego, ze ci, którzy stanęli na czele tej początkowo wzniosłej organizacji młodzieży byli nieodpowiedni. Organizacja przybiera ustrój centralistyczny, niema swobody działania w pracy, indywidualne poglądy lepszych jednostek są krępowane więzami niejako wojskowego poddaństwa, co jest powodem, że jednostki wybitnie inteligentne, nie mogąc poddać się często ograniczonym komendantom, czują gwałtowną potrzebę wysunięcia się z organizacji, ażeby nie przeciwstawiać się bezcelowo rozkazom nieraz zasadniczo sprzecznym z ich zapatrywaniami. W ten sposób obniża się autorytet organizacji wśród ogółu młodzieży, w ten sposób organizacja obejmuje wciąż niższe warstwy młodzieży, a kierownicy drużyn i co za tem idzie, ci którzy stoją na wyższych i odpowiedzialniejszych stanowiskach są coraz mniej do tego odpowiednimi. Dalej Harcerstwo, jakkolwiek głosi wciąż nowe ideje szerzenia oświaty między wioski i młodzież rzemieślniczą, zasklepia się w szczupłych ramach przeważnie tylko szkół średnich, spadając jak wyżej powiedziałem coraz niżej. I dziś już prawie z dniem każdym widzimy zbliżanie się tej organizacji do ruiny lub zupeł-

nej degeneracji. Nie wszystko jednak przedstawia się tak tragicznie. Są bowiem jednostki, które pragnęłyby utrzymać należyty ton w organizacji. Jest to nieraz młodzież, która przeszła prawdziwą, twardą szkołę harcerską i dziś, szerząc ideje prawdziwie harcerskie w życiu, wiąże się w „Koła Starszej Młodzieży Harcerskiej“, mając na celu przedewszystkiem podniesienie pracy w drużynach. Często jednak wywiązują się tego rodzaju stosunki, że w tym właśnie Harcerstwie, w którem powinna panować bezwzględna zgoda, powstają konflikty między „K. St. Harc.“, a bezpośrednimi kierownikami organizacji i staropolska nasza zwada rozbija i rozprasza najszczytniejsze nasze nadzieje.

Harcerstwo winno być szkołą życia, powinno być znane wśród społeczeństwa, powinno z niem współpracować, a właściwie życiem swem wykazywać do czego prowadzi. Tymczasem nasze Harcerstwo czeka, aż ktoś się nad niem zmiłuje i ofiaruje mu pewną kwotę lub majątek, (w którym, nawiasem mówiąc gospodaruje się nędznie). Ciągłe utarczki Harcerstwa z Y. M. C. A. też nie wskazują na dobre jego strony, bo zamiast pogodzić swoje dążenia, zmierza niejako celowo do ciągłej zwady. —

Nie dziwię się więc, że ogół młodzieży, stojącej poza Harcerstwem, ostro krytykuje jego pracę, bo nie widzi w niem tego, coby widzieć pragnął, a uderza jego oczy tylko „wiązanie węzłów, noszenie odznak i sznurków“ co rzeczywiście jedynie tylko jest widoczne (jak zaznacza warszawska „Młoda Myśl“). Pragniemy widzieć w Harcerstwie organizację nie wojskową, bo takich dużo mamy, nie abstynencką, bo i takich wiele jest, ale chcemy, żeby Harcerstwo zrozumiało swoje ideje, chcemy żeby ono wychowało nam człowieka prawego w całem tego słowa znaczeniu t. j. człowieka silnego i zdrowego fizycznie i moralnie. A do tego dojdziemy tylko wówczas, gdy już od dziś zakasamy rękawy i weźmiemy się do gruntownej przebudowy strupieszałego gmachu. W tem jednak nie mogą wziąść udziału tylko jednostki, w tem musi wziąć udział ogół młodzieży, bo tylko zbiorowy bezwłoczny czyn zdoła tu dokonać poprawy. —

A. Dobrowolski.

Kronika.

Od wydawnictwa: Z powodów od nas niezależnych 1-szy numer „Filomaty“ nie ukazał się 15/XII-21.

* * *

Koncert nasz z dn. 4 XII 1921 zgromadził tak wielką ilość publiczności, że nawet nasza wielka sala wszystkich dostatecznie pomieścić nie mogła. Ale pod względem jakości publiczność, niestety, nie dorównała ilości. Miało się wrażenie, że połowa przynajmniej uczestników nie przyszła na koncert, ale na miłą pogawędkę i zabawę z kolegami względnie koleżankami. W czasie gry i śpiewu dochodziły z sali (w szczególności z lewej strony) ciągłe śmieszki i rozmowy, niestety nie o muzyce, ale o rzeczach bynajmniej koncertu niedotyczących. Gwar powiększało nieustanne klaskanie przy każdym wejściu i zejściu ze sceny wykonawcy danego numeru, z czego część publiczności robiła sobie zupełną zabawkę. Bardzo nam miło, że tak witano nasze młode szkolne talenty ale we wszystkiem trzeba zachować pewne granice. Przejdźmy teraz do samego programu. Koncert rozpoczął się tradycyjnem odśpiewaniem „Boże coś Polskę“ przez chór szkolny, który jednak nie wywiązał się tak z zadania jak na koncertach lat ubiegłych. Zdaje się, że przyczyną tego była cokolwiek za duża ilość kolegów z młodszych klas, bo jednak końcowa „Rota“ wykazała, że chór klas wyższych bez poważniejszego zarzutu wypełnił swe zadanie. Odczyt o powstaniu listopadowem wygłosił kolega Dobrzyński Referat rzeczowy, nie przepełniony szumną frazeologją dobrze oświetlił powstanie z punktu widzenia genetycznego i narodowego. Część śpiewu wykonali kol Piątkowski i Chmielewski, bo z powodu przeziębienia p. Wojtaszkiewicz, który obiecał odśpiewać kilka piosnek, nie przybył. Śpiew kol. Piątkowskiego, wypadłby zupełnie dodatnio, gdyby nie „nosowe“ wydobywanie dźwięków. Głos kol. Chmielewskiego, jakkolwiek trochę słaby, jest bardzo miły i dźwięczny i szkoda, że nie usłyszeliśmy go w śpiewie solowym. Bardzo dobrze wyszedł koncert orkiestry smyczkowej, za któ ej zorganizowanie i wyćwiczenie, należy się p. prof. Powiadowskiemu wysokie uznanie. Na fortepianie grał kol. Moszkowski, którego grę, podziwialiśmy już w zeszłym roku. Ale zdaje się że ani Rheinhold, ani Chopin, którego wykonanie było bez zarzutu nie wzbudził większego zainteresowania. Bardzo udatną częścią naszego koncertu, podobnie jak na poprzednich koncertach były deklamacye kol. Hylanickiego.

Naogół koncert wypadł dobrze. Mamy nadzieję, że nasza ruchliwa Samopomoc zgotuje nam w przyszłości jeszcze niejedną tego rodzaju rozrywkę.

* * *

Dnia 20 grudnia 1921 r. odbył się w sali naszego gimnazyum koncert urządzony staraniem Koła Samopomocy 8 kl. Szk. Real. Żeńskiej. Koncert ten zgromadził nieliczną młodzież i zarówno nieliczne sfery społeczeństwa starszego. Dobrze wyszkolony chór odśpiewał szereg utworów Galla i kilka dumek. Duet odśpiewany przez koleżanki kl. VII i deklamacye wygłoszone przez koleż. kl. (VI) były mniej udatne. Bardzo efektownie natomiast wypadły sola fortepianowe i menuet, którego koleżanki mimo prośb ze strony publiczności powtórzyć nie chciały. Zasługuje na uwagę to, że koncert był urządzony własnemi siłami, a wskutek tego nastrój panował nie wymuszony, ale nader miły i swobodny. Żałujemy, że koleżanki i koledzy ze szkół innych okazują mało zainteresowania się występami organizowanemi przez koła uczniowskich Samopomocy, co niezbyt dobrze świadczy o współżyciu młodzieży szkolnej.

Z odczytów.

Tegoroczny cykl odczytów zorganizowanych przez Tow. Naucz. Szk. Średnich rozpoczęła prelekcja p. red. Ewerta „Pierwiastek narodowościowy w rewolucji“. Po dość dowolnem przeprowadzeniu podziału wszelkich zaburzeń w społeczeństwie na rewolucje i bunty Sz. Prelegent wypowiedział swe zdanie oparte na niedawno wydanym dziele St. Grabskiego p. t. „Rewolucja“ z którym się jednak niezupełnie zgadza co do poglądów na zadanie rewolucji. Całość prelekcji przedstawiała się bardzo dobrze. Tematu może zupełnie nie wyczerpano, jednak jak na popularny odczyt i taki zupełnie wystarczy. Co do formy zewnętrznej, to ze względu na czysty język jasne i płynne wysławianie się prelegent, może posłużyć za wzór następnym odczytom.

Drugi odczyt zatytułowany „Życie i twórczość Leonarda z Vinci“ wygłosił p. dyrektor Woyna przy szczelnie zapełnionej sali. Przed oczyma słuchaczy wywołał prelegent duszę wielkiego mistrza odrodzenia i pokazał ją słuchaczom na podstawie jego dzieł; szczególniej omawiał prelegent „Ostatnią Wieczerzę“.

Trzeci z kolei odczyt „O romantyźmie“ przeczytał nadzwyczaj szybko i niezrozumiale p. Szucki. O ile mogliśmy zrozumieć tok myśli, rzucanych z zawrotną szybkością, wydaje nam się, że prelekcya była nie zupełnie na temat, gdyż ostatecznego zestawienia, którego spodziewaliśmy się nie zrobiono. Możliwe, że mylimy się, jednak wina za takie pomyłki; spada całkowicie na prelegenta, który nie dał wprost wypoczynku i czasu na zastanowienie się nielicznym słuchaczom.

Odczyt p. prof. Nitscha „O geografji języka polskiego“ utrzymany w tonie dalece dostępnym zaznajomił ogół z wielu ciekawemi kwestjami, dotyczącemi naszej mowy. Mimo tak ciekawego i mało znanego tematu sala świeciła pustkami

---

Odczyt p. prof. Dobrowolskiego „O konieczności ćwiczeń fizycznych“ utrzymany był w tonie interesujące pogadanki. Szanowny Prelegent w myśl zasady „Zdrowa dusza w zdrowem ciele“ udowodnił konieczność ćwiczeń fizycznych w życiu młodzieży. Sala była prawie pustą, co bardzo źle świadczy o naszej sosnowieckiej inteligencji.

Liczne rzesze słuchaczy zgromadził odczyt księdza Klepaczewskiego o Dantem wygłoszony z okazji 500-nej rocznicy zgonu największego z twórców średniowiecza. W sposób nieco bezładny opowiedział prelegent dzieje życia Dantego, charakteryzując go na podstawie celniejszych utworów. Księdzu prelegentowi zarzucić można za ostre i może mało trafne porównanie stosunku Dantego do Boccatcia do stosunku Bossueta i Voltaira. Pozatem przewlekłe cytaty włoskie wzbudziły między „sztubą“ w końcu sali, szczere wybuchy śmiechu

---

O następnych dwuch odczytach, mianowicie p. prof. Reybekiela p. t. „Nitsche“ i p. Lewandowskiego p. t. „Państwo a naród“ zamieścimy obszerniejsze sprawozdanie w następnych numerach naszego pisma. Naogół z przykrością stwierdzamy małe zainteresowanie się odczytami.

* * *

Sprawa bibljoteki przy 1 szem Państwowym Gimnazjum im. St. Staszica w Sosnowcu jest dla nas kwestją najbardziej palącą. Po szkole rosyjskiej odziedziczyliśmy wspaniały gmach i pomoce naukowe z dziedziny nauk ścisłych we wzorowym porządku, brak nam było tylko tego co stanowi czynnik dominujący w rozwoju umysłowości ucznia — brak bibljoteki. Samopomoc szkolna rozporządza zbyt małym kapitałem, aby mogła dostarczyć dość książek w celu zasilenia zasobów obecnej bibljoteki. Postanowiono przeto zwrócić się w tej sprawie do rodziców z prośbą o poparcie materjalne. Na zebraniu rodziców zorganizowanem przy pomocy p. Płodowskiego przez Samopomoc, rodzice

uchwalili dobrowolne opodatkowanie się w kwocie miljona marek jednorazowo, a następnie miesięcznie po 300 Mk. za uczniów z klas niższych i po 400 Mk. z klas wyższych. Składki z których ma być zebrana suma miljona marek, wynoszą jednorazowo trzy tysiące marek od ucznia. O ile wiemy napływ składek jest naogół mały mimo rezesłanych zawiadomień o obowiązku ich wnoszenia w myśl uchwały zebrania.

* * *

Przy Kole Samopomocy 1 go Gimn. Państw. im. St. Staszica zorganizowano nową sekcję kulturalno-oświatową. Będzie ona miała do spełnienia jedno z najwznioślejszych zadań Samopomocy, pracę nad moralnym i umysłowym rozwojem uczniów. Ma ona dać uczniom to, czego niejednokrotnie brak w domu, wsparcie moralne i pomagać do wychowania w myśl zasad polskiej etyki. Sprawy bibljoteki o których przedtem już pisaliśmy należą do kompetencji tej sekcji, niezależnie od tego wydawanie pisma. Dotychczas staraniem sekcji kulturalno-oświatowej przy pomocy i poparciu dyrektora Gimnazjum zorganizowano kilka wycieczek do pobliskich wielkich zakładów przemysłowych, przygotowano na poświęta cykl odczytów z przezroczami, projekt nowych wycieczek, wreszcie uroczyste otwarcie świetlicy. Sekcja kulturalno-oświatowa w szkole naszej ma wiele do zrobienia. Od dobrej woli i energji jej kierownika zależą przyszłe owoce tak niedawno podjętej, a już tak daleko posuniętej akcji.

* * *

Po parokrotnym zwoływaniu i ogłaszaniu, doszło wreszcie d. 21/XII-21, na szóstej lekcji, do skutku zebranie korepetytorów, urządzone staraniem naszej Samopomocy. Przewodniczył kol. Turski, funkcję sekretarza pełnił kol. Sauter. Wśród zbyt swobodnego i wesołego nastroju, który w wysokim stopniu utrudniał prowadzenie obrad, większa część uczestników opowiedziała się za wnioskiem kol. Sapera, aby utworzyć Komisję, któraby przygotowała i zreferowała odpowiednią ustawę dla związku korepetytorów i podała projekt obowiązujących cen. W skład Komisji przez głosowanie weszli kol. kol.: Pawlik, Dobrowolski, Chawiński, Szmigielski i Turski.

Druk. Artystyczna „Górnika“ Sosnowiec, Florjańska 16.